

Lubystek roześmiał się na tę uwagę...

— To stare dzieje, panie Macieju, „Galka i Lubystek” to firma, z którą mi łączy jedynie wspólne nazwisko.

— Słynne browary były kiedyś własnością mojego stryja i pana Galki, obaj już nie żyją. Piwo, które pijamy po knajpach, jest dziś produktem braci Ajbeszyców, którzy kupili całe zakłady na pniu o dwudwój po stryju Lubystku. Spędzała wszystko po śmierci stryja.

— No to ma pan zamożną stryjenkę — zauważył Maciej.

— Owszem, dwa domy w Berlinie, z których jeden stoi na Kurfürstendamm, willa w Cannes, trzy kamienice w Warszawie, fabryka czekolady, no i sporo brylantów w safesach, nie mówiąc już o płynnej gotówce, nie może baba narzekać, niestety panie Macieju, to wszystko mnie nie dotyczy...

— Jakto, nie panu stryjenka nie daje?

Lubystek machnął ręką.

— Nie chce nawet słyszeć o moim istnieniu, twierdzi, że jestem nie z prawego łóża, to jadowne ziele...

— Ale zapisze panu coś nie coś...

— Przedtem mi włosy na dłoni wyrosną. Ostatnio moja kochana stryjenka zajęła się gorliwie społeczeństwem, chce pewnie kandydować do przyszłego Sejmu, ohydna baba, psinkrew!...

Na rumianej twarzy Lubystki zagościł smutek, zapatrzył się w jedną z licznych szpar w podłodze i siedział dłuższą chwilę bez ruchu. Wreszcie ocknął się z zamyślenia.

— Ubrałeś się już? — krzyknął w stronę Pawła, który przez cały czas tej rozmowy pluśkał się i prychnął za przepierzeniem.

— Już kończę — rozległ się głos, stłumiony ręcznikiem.

— Nie elegantuj się tam zanadto, do baru „Pod księżycem” wystarczy zwykły uniform doróżkarza..., a propos muszę wycisnąć to palto — rzekł, powstając z krzesła. Maciej podniósł się równie i sięgnął po swoje paletko.

— Ile płacisz za tę mansardę — zwrócił się do Pawła.

— Nominalnie sto złotych, ale de facto nie, — odparł tamten z prostotą.

— Dawno zalegasz?

— Jakies trzy miesiące, może cztery...

— No chodźmy panowie, — przynaglał Lubystek.

Wkrótce Paweł był gotów. Strumienie zimnej wody nadaty mu nieco zdrowszego wyglądu.

Maciej wysilił się nawet na komplement, mówiąc półgłosem do Lubystki, że Paweł mógłby mieć duże powodzenie u kobiet.

Po chwili, trzech panowie wyszli, dowiecipując. Paweł wysunął się naprzód, sprowadzając swych gości w dół z czwartego piętra. Schodząc po ciemnych i ponurych schodach wszyscy trzej doszli do zgodnego wniosku, że przedstawiają one wiele do życzenia. Nadgłuche, drewniane stopnie trzeszczały pod nogami, chwiejny bariera lepiła się od brudu.

Wyszli na ulicę. Było już po północy, naco wskazywał ruch nie licznych przechodniów, z których jedni spóźnieni śpieszyli do domów, a inni waleśali się bez celu, przystając w bramach i zagadując uliczne dziewczęta.

— Przypnam się panom, że nie wiem, gdzie mieści się bar „Pod księżycem” — wtrącił Maciej, gdy gawędząc wesoło, zdążyli do sąsiedztwa.

— Tuż obok kościoła Karmelitów — objaśnił Lubystek.

Po chwili, za rogiem szarego gmachu ministerstwa X, zabłysnął złoty neon w kształcie półksiężyca. Bar ten wciśnięty między dwa stare domostwa i oddzielony skwerkiem od principalnej ulicy, gromadził o późnej porze ludzi różnego autoramentu. Można tu było spotkać nad ranem znakomitych artystów i poetów, którzy „zajmując do wewnątrz” wódkę i piwo, leżeli się z nadmiaru megalomanji, widywało się również państwowe figury, które pozostawiając ze swoich stromych piedestałów, szły nocami do ludzi, którzy w prostrze, między zlatujących nawozem koni, „sataciarzy”, uperfumowanych benzyną szoferów i damy, których nieobyczajność nastrocza wiele kłopotu policji od czasu istnienia policji w ogóle, czyli od kilku tysięcy lat. Przysłul ten zakątek, w którym rozlegało się hałaśliwe trio z harmoniją na czele, upodobało sobie również paru emigrantów rosyjskich, którzy w ucieczce przed krwawym regimem, znaleźli schron bezpieczny w barze „Pod księżycem”. Właściciel baru urządził nawet dla nich specjalną salę w piwnicy, gdzie podawano im pieprzne potrawy na różnie. I tam właśnie zaprowadził przyjaciół Lubystek, którzy sądząc z uśmiechów, jakimi go przywitali keinerzy bywał tu częstym gościem. Gdy usiedli za stołem, w przepięknej salce, zamówił butelkę wódki i porcję szaszłyku „do podziatu na trzech”.

— Narazie poda pan coś ostrego, na przykład grzybki albo kor-niezony — zwrócił się do kelnera.

— Słucham pana dziedzica — zakrzętnął się tamten służbiście.

— Panie, panie! — wstrzymał go w pędzie Lubystek — chcę pana o coś zapytać.

Kelner nachylił się nad nim poufnie.

— Czy będzie tu dziś gospodarz? — spytał półgłosem.

Kelner spojrzął na zegar — będzie, za jakieś pół godziny.

— Sam czy z panią? — indagował szeptem Lubystek.

— Tego nie wiem.

— No to wal pan tymczasem po wódkę.

Odprawił kelnera i zwrócił się do Pawła.

— Trzeba ci wiedzieć, że ten bar jest własnością znanego ci skądinąd pana „Zet”.

— Zalkina? — wykrzyknął Paweł zupełnie tem zaskoczony.

— Zgadłeś, Zalkina.

— Więc cóż to, nie możesz kogo innego popierać?

— Mogę, ale lubię popatrzeć na tę wstrętą gębę.

— Szkoda żeś mi tego wcześniej nie powiedział byłbym tu nie przyszedł — rzekł Paweł, tonem niechęci — widziałem tę gębę nie dalej, jak dzisiaj i do tego w przykrej dla mnie sytuacji.

— O tem nie wiedziałem — tłumaczył się Lubystek — jeżeli chcesz, możemy odwołać zamówienie i wyjść, tembardziej, że mogą zjawić się tu oboje...

— Oboje, to znaczy on z nią?...

— Tak, przychodzą tu często razem na inspekcję, ona pomaga mu w interesach... — Paweł milczał przez chwilę, chaotycznie szukał decyzji, wyjść czy zostać? Logicznie rzecz biorąc powinien wyjść, by nie rozjrzierać świeżej, niezabliźnionej jeszcze sprawy. Jednocześnie czuł, że pali go i wstrzymuje jakaś niezdrowa ciekawość, ta sama która nie daje spokoju choremu, zmuszając go do przenikania myślą swoich schorzałych wnętrzności.

— Może ją tu zobaczę — przebiegało mu przez myśl i w tej samej sekundzie ekran wyobraźni wyświetlił jej postać wkrótce, przelotnej migawce. Ukazała mu się w myślach, jak żywa.

— Zostanę — powiedział Paweł decyzyjnie i głośno rzekł:

— Nie obawiam się tak dalece widoku pana Zalkina, żebym miał stąd uciekać, zostanę chętnie i razem z tobą, przyjrzyj się jeszcze raz tej niezwykle interesującej fizjognomji.

Kelner ustawił wódkę i ostre zakąski. Ostrożnie z nabożeństwem napełniał kieliszki. W niedużej salce panowało ożywienie i gwar, który wódka podniosła już o oktawę, zagnęła rozlegały się piśki, kobiece okrzyki.

Panowie stuknęli się kieliszkami.

— Za pomyślność naszych interesów — przemówił Maciej, półgłosem.

Trzy głowy przechyliły się symetrycznie, chłonąc zawartość kieliszków.

— A widzisz, przekonałem cię — rzekł Paweł z odcieniem triumfu.

— O czem? — spytał Lubystek, nakładając na talerz sporą ilość grzybów.

— O tem, że się powinien wziąć do interesów, wylali go z posady.

— Wylali pana... hm, to przykre — zauważył współczująco Lubystek — i cóż pan zamierza robić?

— Myślałem spoczątku o innej posadzie, szukałem...

— Poca pan szukał? — przerwał mu Lubystek — gdyby pan nawet znalazł, to za jakiś czas znówby pana wylali, wszelkie posady zwykle się tak kończą.

— To samo mówiłem — wtrącił z boku Paweł.

— Mojem zdaniem — radził Lubystek, napełniając powtórnie kieliszki — powinien pan sobie dobrać współników i wziąć się do interesów.

— Należy coś obmyśleć, pieniądze ma pan?

— Może mieć kilka tysięcy od teścia — wycedził Maciej w odpowiedzi Paweł.

— No, to można rozpocząć — zdecydował Lubystek — a zatem wiwat panowie, wypijmy tę wódkę i zastanówmy się chwilę nad interesami, projekty będziemy zgłaszać kolejno. I znów trzy głowy przechyliły się w zgodnym rytmie, opróżniając kieliszki. Od początku tej zapowiadającej się mile biesiady uwagę Pawła przątał siedzący w pobliżu jegomość, który przechylał się w stronę ich stołu, wyraźnie przysłuchując się całej rozmowie. Paweł podzielił się z kolegami swoim spostrzeżeniem.

— Widuję go tu często, zwykle przychodzi sam i zamawia jakieś wymyślne potrawy — objaśnił Lubystek.

— Wygląda na mongola, ma ciemną cerę i wystające kości policzkowe — zauważył Maciej, obserwując zagadkową postać, włożywszy w tym celu okulary.

— Zwalazca oczy ma skośne, cecha wybitnie azjatycka — dodał Paweł, śledząc badawczo rysy jegomościa.

Wszyscy trzej odłożywszy widelce, jeli wpatrzeć się w tę postać, siedzącą samotnie przy karafka wina. Przez chwilę obcy pan nie zdawał się tego dostrzegać. Przeciwnie, zapatrzone gdzieś w inną stronę, robił wrażenie głęboko zamyślonego.

Nagle, ruchem gwałtownym odwrócił się i widząc skupione na sobie spojrzenia, podniósł się z wolna i podszedł do ich stolika.

— Panowie raczyli się zainteresować moją osobą, bardzo mi jest — oświadczył, przeciągając wyrazy z rosyjska — pozwól panowie, że i ja skolei zacznę się panami interesować.

To rzekłszy, bez żadnej ceremonji przyciągnął swoje krzesło do ich stołu, rozsiadł się na niem wygodnie i zawołał kelnera.

— Proszę przynieść karafkę z mojego stolika, będę jadł z tymi panami — zarządził.

W miłym gronie, zwiększonym o jedną osobę, zaległo głuche milczenie. Intruz długo nie kwapił się z wyjaśnieniami, uważając widocznie, że postąpił właściwie, obserwował spokojnie nowe towarzystwo, bębniąc palcami po stole. Wreszcie rzekł:

— Moje azjatyckie rysy, tłumaczę się tem, że jestem z pochodzenia Tatarzem. Rodzina moja wywodzi się z Litwy, gdzie jak panom wiadomo, Tatarzy osiedlali się w czasie najazdów... Pano- wie natomiast wywodzą się od Normanów... ale nie wszyscy... o pan na przykład — mówił, zwracając się do Lubystki, — pochodzi z ludu, który żyjąc koczowniczo w dolinie Wisły, klepał biedę i dostał się z czasem pod jarzmo Wikingów. Najeźdźcy ci, wytworzyli później szlachetniejszy typ... o, pańska twarz jest tego najlepszym dowodem — pokazał skolei na Pawła — wysokie czoło, włosy czarne, oczy jasne, energiczny zarys szczęki, to jest twarz, na którą przyjemnie popatrzeć, bo te wszystkie cechy, które tu siedzą... dokooła... — to mówiąc, obrócił się w stronę sali, zapewne w poszukiwaniu żywego przykładu i nagle urwał w pół zdania.

Utkwił spojrzenia w jeden punkt i nie spuszczał z niego oka. Paweł podążył za jego wzrokiem i wypatrzył ten punkt — była nim pani Urszula. Towarzyszył jej Zalkin, właściciel „lokalu”. Stali oboje w drzwiach, spoglądając na gości, którzy rozbawili się teraz na dobre.

Zalkin upiękzył swoją twarz wyrazem słodczy, mrugając kaprawami oczami, wsłuchiwał się z lubością w brzęk szkliska na sali, niby konstruktor, chwytający do ucha odgłosy działającej sprawnie maszyny. Pani Urszula przysłoniła oczy rękami i trudno było odgadnąć, w którą stronę patrzy. Trzej kompani siedzieli bez słowa i spoglądali kolejno, to na przybyłą parę, to znów na dziwnego intruza, który siedział zwrócony do nich profilem. Sytuacja zdawała się być bardzo zagmatwaną.

Lubystek wykonał nawet ruch, jakgdyby się chciał komuś ukłonić, ale Paweł przytrzymał go za rękę. Jedynie Maciej, który niczego się nie domyślał, przerwał nagle milczenie, mówiąc jak tylko mógł najgłośniej.

— O którą więc gębę panu chodzi?

Jegomość, wywiedzący swój ród od Tatarów, drgnął niby zduszony ze snu i spojrzął na Macieja oczami szkliskiem, pozbawionymi na chwilę wyrazu. Zabębnił palcami po stole.

— O, na przykład taka fizjognomja — przemówił, nawiązując do poprzedniego tematu — czy nie uważacie panowie, że ten Żyd, ma coś w wyrazie satanistycznego?

— Czy ten, który stoi przy kasie z przystojną blondynką? — wypytał Maciej.

— Tak, ten sam, znam tego pana nie od dzisiaj, spotkał się dawniej w Kijowie.

— Czy w czasie wojny? — zainteresował się nagle, Lubystek.

— Tak, tuż przed wkroczeniem naszych wojsk do Kijowa, pracowałem wtedy w naszym wywiadzie, o znam ja niektóre sprawy Zalkina... znam, ten pan nie zlatwał jeszcze z mną starych porachunków, a zdążył pozaciągać już nowe długie... ale to nie, jeszcze się kiedyś porachujemy...

Cedził te słowa przez zęby, wypowiadając wyrazy przeciągle, a w jego skośnych oczach czaił się wyraz nienawiści. Tymczasem kelner przyniósł skwierczący na różnie szaszłyk i począł go dzielić, nakładając na cztery talerze.

— Może napije się pan razem z nami? — odezwał się nagle Paweł, który na podłożu wspólnej nienawiści, poczuł sympatię do tego intruza.

— Owszem bardzo chętnie — zgodził się tamten, zapraszając nowych kompanów do korzystania z jego karafki wina.

Gdy Paweł zerknął po chwili w stronę pani Urszuli, napotkał pustkę. Wyszli. Udał się widocznie na dalsze inspekcje, do rozrzuconych po mieście przedsiębiorstw Zalkina.

To polepszyło mu humor. Aby odebrać resztki smutnych reminiscencji, napełnił wszystkie kieliszki.

— W pańskie ręce — rzekł, tracąc się z nowym kompanem.

— Mieliśmy porozmawiać o interesach — przypomniał Maciej, który przeczekał cierpliwie te wszystkie dykresje.

— No właśnie, bo trzeba panu wiedzieć — objaśniał przybyśza Lubystek — że znalazł się pan przypadkiem na handlowej konferencji, namyślały się właśnie nad jakimś intratnym interesem.

— No to świetnie się składa, poszukuję właśnie współników — rzekł nieznanemu z nagle ożwieniem — mam na widoku szereg interesów. Na jednym można zrobić w krótkim czasie parę tysięcy, co da podstawę do dalszych...

— A czy pan ma gotówkę? — wtrącił pytanie Maciej swoim niskim głosem.

— Niewiele, ale mam zato dobre pomysły.

— To też jest coś warte.

O, nawet wiele — zachwalał przybyśza.

— Czy można wiedzieć w jakiej dziedzinie?

— Propaganda pewnego kartelu.

— A czy ten kartel dużo wydaje pieniędzy na propagandę? — badał Maciej, wykazując niezwykle zainteresowanie.

— Dwa miliony rocznie.

— No to można coś nie coś zarobić — wtrącił Paweł.

— No czy wypijemy tę wódkę!

— Czy, pijcie panowie wina, kelner, jeszcze trzy kieliszki do wina.

— Dobry szaszłyk.

— Owszem, Zalkin nauczył się przyrządzać.

— A wolno wiedzieć jaki jest pański zawód? — zapytał Paweł nieznanego — bowiem przybyśza nie raczył się dotąd przedstawiać.

— Jestem doktorem medycyny, pracuję w instytucie biologji eksperymentalnej — odrzekł tamten — niestety warunki materialne mamy tak kiepskie, że muszę zdobywać gotówkę skąd się da — dodał z gorczyca w głosie. — Związcza teraz pieniądze mi będą potrzebne, prowadzę niesłychanie frapujące eksperymenty z pierwotnikami. — Przedłużam sztucznie ich życie, jest to poważny przyczynek do rozwiązania problemu nieśmiertelności.

To mówiąc, napełniał kieliszki winem.

— Dawno pan pracuje w dziedzinie biologji?

— Niedawno, dotychczas byłem lekarzem garnizonowym, zwolniono mnie przed rokiem, nie wypijcie panowie.

Sympatja trzech kolegów do dziwnego człowieka, wywodzącego się z hanów, rosła z godziny na godzinę. Umacniana wódką, winem a na zakończenie piwem z browarów „Galki i Lubystka”, zamieniała się wkrótce w przyjaźń. Trójka młodych kompanów dostroiła się wkrótce do nieznanego, który przewyższał ich znaczenie rozumem i wiekiem. Pili gęsto i rozmawiali o interesach. Nad ranem, gdy czwórka panów wyszła z baru na siniejące miasto w przedświcie, doktór zataczał się mocno na swych krótkich nogach. Skierował się do taksówki, którą przywołał do niego Paweł.

— Więc sprawa stała na tem, że pan, panie Macieju, pomówi jutro z teściem o pieniądzech — mówił, siedząc już wewnątrz wóliku — potrzebne są pieniądze... ach zapominałem dać panom swój adres, ładnie jestem wychowany... zapiszcie więc sobie panowie... telefon 295-65 — Doktór Dziubiel... dowiedzenia!

Zatrzasnął drzwi taksówki, Pawłowi wypadł z ręki ołówek, długozuch szukał go w błocie, powtarzając, by nie zapomnieć 295-65... 295-65... nazwisko pamiętał...

R o z d z i a ł 4.

CZTEREJ WSPOLNICY BIORĄ SIĘ DO INTERESÓW.

Paweł spał do południa. Leżał matwo, jak kłoda, chrapiąc z poswistem. Nie miał snów żadnych. Zmęczona jaźń odpoczywała po przebytych trudach, pograżona w głębiach niebytu. Przywołał ją stamtąd telefon, który nad Pawła spoconem czołem począł dzwonić miazowo i nieustępliwie. Obudził go nareszcie. Bezwiadną ręką sięgnął po słuchawkę i wykrzyknął — proszę...

— Dzieńdobry! no, nareszcie się pan odezwał, pewnie przerwa-tem pan ujakieś pilne zajęcia?

Był to ten sam głęboki alt, którego posiadaczka, zafundowała mu telefoniczny abonament.

— Dzień dobry, zdaje się, że wczoraj miałem przyjemność z pa-nią rozmawiać — nawiązał Paweł rozmowę, obiecując sobie do-wiedzieć się koniecznie nazwiska tej damy.

— Owszem, tym razem pamięć pana nie zawodzi, poznał mnie pan po głosie?

— Właśnie, po głosie, który jest aksamitny i ciepły...

— Dziękuję.

— Uważam nawet, że powinna pani kształcić głos, zdaje się, że ma pewne atystyczne walory.

— Owszem, kiedyś myślałam o tem, ale nic z tego nie wyszło.

— I cóż stało się na przeszkodzie?

— Brak pieniędzy... poprostu...

— Nie dziwię się, wydaje pani przecież dużo na cele filan-tropijne.

W odpowiedzi rozległ się w słuchawce śmiech niepomamowany i dziewczęco szczery, śmiech dziecka na skutek wplatanego figla.

— O, proszę mi nie brać tego za złe, tu nie chodziło o filan-tropję!

— A o co?

— Chciałam poprostu porozmawiać z panem, aż tu nagle wy-łączono telefon, obawiałam się nawet, że pan skasuje aparat, bo teraz dużo osób wyrzeka się tego zbytku, chciałam temu zapobiec...

— Stąd wniosek, że ma pani coś bardzo ważnego do powie-dzenia.

— Tak, bardzo ważnego.

— No więc słucham, proszę.

W słuchawce zamilkło na chwilę.

Nieznajoma wahała się widocznie, odezwała się po namyśle:

— Chcę się z panem zobaczyć...

Pawłowi wydało się, że pewny siebie ton, jakim przemawiała, zalał się przy tych słowach nagle onieśmieniem.

— Czy nie wygodniej będzie dla pani zakomunikować tę ważną wiadomość przez telefon? — zapytał i korzystając z kłopotliwej ci-szy, którą spowodowało to pytanie, dodał z przekąsem — zwłaszcza, że dzięki pani wspaniałomyślności, aparat nadaje się do użytku?...

— Panie Pawełku, wyczuwam w pana głosie irytację, pan się na mnie gniewa — odrzekła, przybierając ton żartobliwie czuły. — O, bardzo mi przykro, że aż tak uraziłam pańską ambicję...

— Proszę mi wybaczyc, panie Pawełku, bardzo proszę — przy-milała się, przeciągając pieszczotliwie wyrazy — już więcej nie będę...

W jedwabnej pieszczocie głębokiego altu dawał się jednak wy-czuć ukryty ładunek ironji, mogącej wybuchnąć lada chwila śmie-chem. Nie chcąc do tego dopuścić Paweł rzekł:

— Nie gniewam się wcale na panią, raczej na siebie samego, żarcik był niezły, przy najbliższej okazji — zwróć pan koszt...

— Bardzo pięknie, ale nie dzwonić przecież do pana w roli wie-rzycielki, chodziło mi o coś innego... chciałam się z panem zoba-czyć — tłumaczyła się, tracąc znowu pewność siebie.

— Kto wie, czy nie okaże się pani groźnym wierzycielem? — mścił się Paweł, za jej poprzedni ton.

W tej chwili jednak uświadomił sobie, że widzenie się z nie-znaną będzie tą właśnie najbliższą okazją do zwrócenia jej pie-niędzy, których nie posiadał. Aby uspokoić swoją ambicję, musiał nagwał wytrzasnąć dwadzieścia kilka złotych. Przewidując trud-ność w tym względzie postanowił odłożyć spotkanie na dzień na-stępny.

— Ależ bardzo chętnie, służę pani — przystał skwapliwie.

— Więc gdzie i kiedy? — spytała.

— Może w kawiarni „Empire”, powiedzmy jutro... — zapo-ponował niepewnie.

— Dobrze, umowa została zawarta, więc proszę na mnie cze-kać jutro o 8-tej wieczorem — powzięła decyzję — i dodała tonem przestrogi: